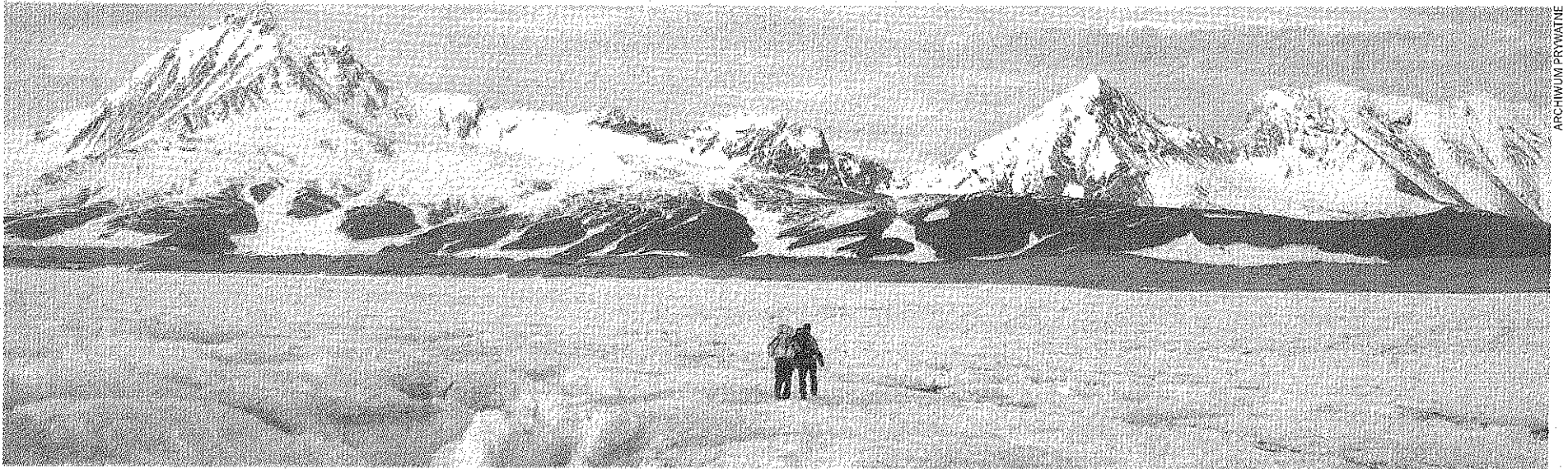


SZKOŁA NA SPITSBERGENIE

- Każde spotkanie z niedźwiedziem polarnym musieliśmy odnotować w dzienniku bazy - wspominają studenci Politechniki Częstochowskiej. Pojechali na praktykę w okolice... bieguna północnego

Monika Jaremko-Słarska



Z okolic fiordu Hornsund do bieguna północnego jest zaledwie 1200 km. Zimą temperatury dochodzą tu do minus 45 stopni

Pobył za kołem podbiegunowym był dla nas sprawdzianem zdrowia, umiejętności, odporności na stres. Przeżyliśmy wspaniałą przygodę, choć pewnych rzeczy nie chcielibyśmy drugi raz doświadczyć - mówią Mateusz Bienias, Krzysztof Grunsioki i Łukasz Głęb, studenci czwartego roku Wydziału Budownictwa.

Do dentysty można jechać i dwa dni

Dwa lata temu Politechnika Częstochowska podpisała umowę o współpracy z Instytutem Geofizyki Polskiej Akademii Nauk. Od 52 lat PAN

prowadzi stację polarną na Spitsbergenie w fiordzie Hornsund. To najdalej na północ wysunięta placówka naukowa, działająca przez cały rok. Do bieguna północnego jest stąd zaledwie 1200 km.

Najbliższą większą osadą jest Longyearbyen położony 200 km na południe. Są w nim sklepy, szpital, małe lotnisko. - Drogi do bazy są dwie: morska i lądowa, a tę można pokonać tylko śmigłowcem lub psim zaprzęgiem - wspominają studenci. - Na wyprawy w okolice bazy chodziliśmy pieszo albo jeździliśmy skuterami śnieżnymi - dodają.

Ale po kolei: wiosną 2007 roku PAN zaproponowała politechnice

wysłanie grupy studentów na Spitsbergen. Na uczelni zaczęło się szukanie ochotników. - Tych nie brakowało. Główny powód, prócz chęci przeżycia przygody, to odbycie praktyki, która otwiera potem ogromne możliwości podczas studiów i w późniejszej pracy - mówi prof. Jarosław Rajczyk, dziekan Wydziału Budownictwa. - Ze względu na polarne warunki musieliśmy zastosować ostre kryteria: uczestnicy musieli być absolutnie zdrowi i sprawni fizycznie. Ważne było choćby uzębienie w idealnym stanie, bo tam do dentysty można jechać i dwa dni - zaznacza profesor. Sam był przed dwoma laty na Spitsbergenie, choć - jak za-

znacza - zaledwie dwa tygodnie. Towarzyszył mu dr Jarosław Kalinowski, pracownik naukowy wydziału.

Ostatecznie rywalizację wygrali Mateusz, Krzysztof i Łukasz. 10 lipca wsiedli na statek badawczo-szkoleniowy „Horyzont II” Wyższej Szkoły Morskiej w Gdyni. - W normalnych warunkach rejs trwałby osiem dni, ale kiedy wypływaliśmy, zaczęły się sztormy. Podróż zajęła nam prawie dwa tygodnie. Wiatr dochodził do ośmiu węzłów, a statek przechylał się o 45 stopni. Nie można wtedy normalnie funkcjonować. Klasyczną chorobę morską trudno porównać z tym, jak reaguje organizm w podczas takiego rejsu - wspominają.

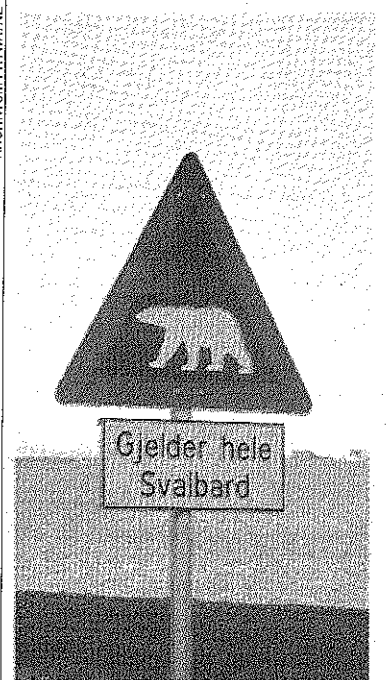
Choć statek był wyposażony w nowoczesne urządzenia pomiarowe, GPS, cyfrową mapę nawigacyjną, to podczas drogi kołysał się, szumiał, skrzypiał, wyl. - Z głębin dobiegało głuche dudnienie, pewnie od ocierających się wielkich kawałów lodowca. Tych wrażeń nie mogło złagodzić komfortowe wyposażenie statku i wygodne kajuty - podkreślają studenci.

Obierali ziemniaki, instalowali sejsmografy

Wreszcie 22 lipca zeszli na ląd w Hornsund. Pierwsze skojarzenie było takie, że znaleźli się w bazie wojskowej - tyle było tu anten i przewodów.



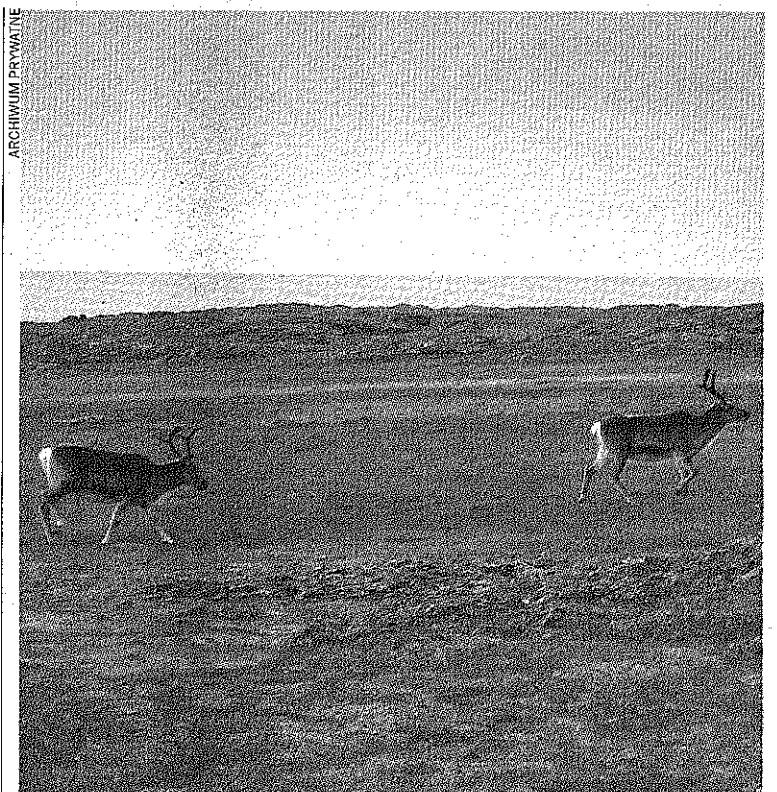
Polska stacja naukowa na Spitsbergenie istnieje od ponad 50 lat. Od lat 70. XX wieku działa przez cały rok. Podczas pobytu częstochowskich studentów została rozbudowana



Niedźwiedzie polarne są pod ochroną



Na dwumiesięczną praktykę w polskiej bazie polarnej pojechali (od lewej): Krzysztof Grunsiok, Mateusz Bienias i Łukasz Głęb



W pobliżu bazy pojawiały się renifery, które zupełnie nie bały się ludzi

Na stałe w stacji przebywa od trzech do ośmiu osób. To pracownicy techniczni, konserwatorzy, kucharz. - Temu ostatniemu trzeba pomagać, więc po kolei pełniliśmy całonocne dyżury: obieraliśmy ziemniaki, przygotowaliśmy posiłki, zmywaliśmy - wylicza Mateusz.

Do głównych zadań częstochowskich studentów należało prowadzenie pomiarów geodezyjnych. Budowali też kolejną część bazy, sprawdzając przy okazji wytrzymałość materiałów budowlanych w warunkach polarnych. I najważniejsze: osadzali w pobliżu bazy sejsmometrię. Urządzenia rejestrują drgania ziemi, potem sygnały ze wszystkich stanowisk są przesyłane do stacji. Po wstępnej obróbce zarchiwizowane dane trafiają do Instytutu Geofizyki PAN. Tam są analizowane i interpretowane. - W ten sposób służą stacjom sejsmograficznym na całym świecie. Dzięki umieszczeniu sejsmometrów tak daleko na północ i sprzężeniu z pracą innych stacji można bardziej precyzyjnie zlokalizować miejsce występowania podziemnych wstrząsów albo narodziny podwodnych tsunami - chwala swoich studentów dr Kalinowski i prof. Rajczyk.

Niedźwiedzie pod oknami

Oprócz pracy naukowej studenci pomagali w rozładunku statku, który właśnie dotarł z kolejną dostawą dla bazy. Przypląwa dwa razy w roku, ale zapasy są gromadzone na rok naprzód - na wypadek, gdyby kolejna dostawa nie mogła dopłynąć ze względu na złą pogodę.

- Rozładunek to kilkudniowe przedsięwzięcie logistyczne. Statek stoi na kotwicy w pewnej odległości od brzegu - opowiadają młodzi mężczyźni. - Okrętowe dźwigi przenoszą paki z towarami na transportery pływające. Po dopłynięciu do brzegu trzeba je rozładować.

Statkiem przywozi się nie tylko żywność, ale i materiały do rozbudo-

wy stacji, środki czystości, paliwo, pomoce naukowe, a nawet zapasy karmy dla psów.

Bo psy - husky - są tu niezbędne. Pilnują m.in. bazy przed niedźwiedziami polarnymi, które są tu częstymi gośćmi. Ponieważ stacja nie jest ogrodzona, misie podchodzą pod same okna. Szczekanie psów biegających na długich smyczach przypiętych do rozciągniętych lin zazwyczaj je odstrasza. - Ale nie zawsze, bo niedźwiedzie nauczyły się, że w bazach jest jedzenie. Raz zdarzyło się, że niedźwiedź podszedł pod same okna, chodząc wzdłuż ścian, nie dało się go odgonić. Na koniec znalazł przy magazynie wielką beczkę z płynem borygo. Obserwowaliśmy go z okien, nikt nie odważył się wyjść na zewnątrz. Po całym dniu wywracania beczki jakimś cudem udało mu się ją odkorkować. Sporo się napił, resztę wylał. I padł. Trzy dni leżał, a my baliśmy się podejść, by sprawdzić, czy zdechł - opowiada Łukasz. - I słusznie, bo po trzech dniach miś się zerwał i trochę niemrawo odszedł - śmieją się studenci.

I dodają już poważnie: - Niedźwiedzie polarne są pod ochroną, a Norwegowie bardzo pilnują przestrzegania przepisów. Gdy wychodziliśmy poza bazę - obowiązkowo w kilka osób, bo pojedynczo nie wolno - zawsze mieliśmy długą broń palną, raketnice i krótkofalówki. W przypadku spotkania z niedźwiedziem nie wolno się do niego zbliżać na odległość mniejszą niż 50 metrów. Gdy same zaczynały podchodzić, odstraszało się je raketnicami i strzałami w powietrze. Do nich samych strzelać wolno tylko w sytuacji zagrożenia życia. Każde spotkanie z niedźwiedziem musieliśmy odnotowywać w dzienniku bazy. Widywaliśmy też stada reniferów, które zupełnie nie bały się ludzi.

Przypadek sprawił, że studenci mogli popisać się również odwagą. W sierpniu wzięli udział w akcji ratowniczej. Media donosiły później,

że gdyby nie polscy polarnicy, wycieczka turystów z Rosji na Morze Arktyczne zakończyłaby się tragicznie. Otóż rosyjski statek podpłynął zbyt blisko lodowca. Nagle oderwały się od niego i runęły do wody wielkie bryły lodu. Powstała ogromna fala, która przechyliła i załamała statek. Kilku turystów miało połamane ręce i nogi, a gdyby polarnicy natychmiast nie przyplęli na pontonach z ratunkiem, kąpiel w lodowatej wodzie zakończyłaby się tragicznie. Na szczęście wszystkich uczestników wycieczki udało się przetransportować na ląd. Śmigłowcami odlecieli do szpitala w Longyearbyern.

Świat stoi przed nimi otworem

Codzienne życie w bazie jest dość jednostajne: praca, posiłek, praca... Zaskakują za to częste zmiany pogody. W jednej chwili jest spokojnie i jasno, a po kilku minutach chmurzy się i zrywa się wiatr, który dochodzi do 100 km na godzinę. Powoduje wielkie fale na morzu.

- Energię w stacji dają trzy agregaty. Jest biologiczna oczyszczalnia ścieków. Łączność ze światem utrzymywaliśmy za pomocą telewizji satelitarnej, więc mogliśmy oglądać polskie programy. Jest telefon satelitarny i internet - wylicza Krzysztof.

Nadchodziła jesień, a z nią długa noc polarna, gdy temperatury dochodzą do minus 45 stopni i słońce nie wychyla się zza horyzontu. Zbliżał się koniec praktyki. 29 września częstochowianie wsiadli na statek dwa tygodnie później przybili do Gdyni. - Gdybyśmy mogli, pojechalibyśmy znowu na Spitsbergen - deklarują studenci.

Prof. Rajczyk nie kryje dumy z wychowanków: - Przydali prestiżu naszej uczelni. Teraz świat stoi przed nimi otworem. Z takim doświadczeniem i wykształceniem budowniczym znajdą pracę wszędzie. ☉

monika.jaremko-siarska@czestochowa.agora.pl